№ 12.

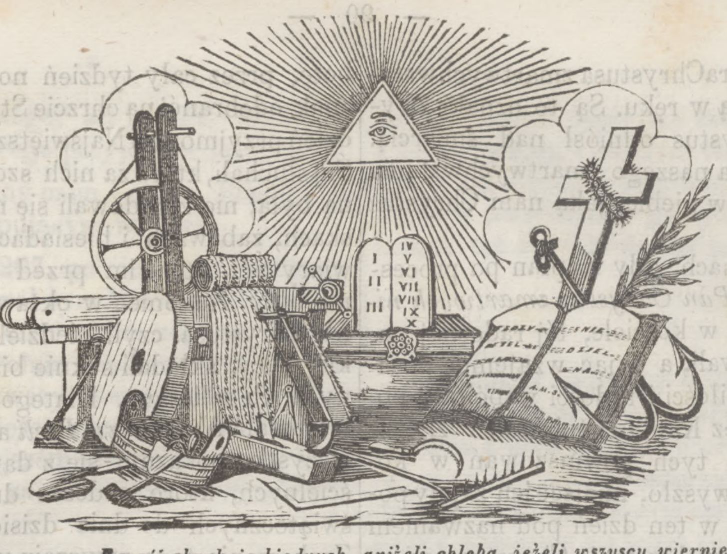
Warszawa.

Dnia 11(23) Marca

1856.

Niedziela

WIELKA.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaw. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

„Boże, któryś dnia dzisiejszego śmierć zwyciężywszy, wejście do wieczności nam otworzyć raczył; prośby nasze, do których nas łaską Twoją wzbudzasz, racz do skutku przyprowadzić." (Modlitwa Kościelna na Niedzielę Wielkanocną).

Wielkanoc.

Wielkanoc jestto uroczystość, podczas któréj Kościół Śty obchodzi pamiątkę Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Nazwanie téj uroczystości wzięte jest od nocy, w któréj Chrystus zmartwychwstał, a która dla nas z tego względu jest nocą *wielką* i bardzo ważną. Hebrajczycy przed przyjściem na świat Chrystusa obchodzili Wielkanoc, na pamiątkę wybawienia ich podczas nocy z niewoli egipskiéj, i pożywania baranka przy wyjściu z Egiptu; tudzież na pamiątkę pozabijania wszystkich pierworodnych dzieci egipskich, a cudownego zachowania hebrajskich, co Pismo S. *Przejściem Pańskiém* nazywa. Dlatego święto to, nazwali *Paschą*, co z hebrajskiego *przejście* znaczy. Nasza uroczystość Zmartwychwstania Chrystusa, nazywa się także *Paschą*: raz od Paschy hebrajskiéj, która téj uroczystości obrazem była; powtóre, że Zmartwychwstanie Chrystusa jest przejściem Jego od śmierci do życia, przez które z niewoli grzechu i wiecznéj śmierci nas oswobodził.

Ponieważ Zmartwychwstanie Chrystusa jest główną zasadą naszéj wiary, stąd uroczystość Wielkanocna dla Chrześcijan jest najważniejszą i najmilszą. Dlatego Kościół Śty z większém ją, niżeli inne, weselem i radością zwykł obchodzić. Ta radość i wesele Kościoła Sgo, wyraża się we wszystkich pieśniach, jakie się podczas Wielkiejnocy używają.

Uroczystość Wielkiejnocy zaczyna się od wspaniałego nabożeństwa, które *Rezurekcyą* się zowie. Ta rezurekcya wyobraża samo Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, i odprawuje się w sobotę wieczorem, albo o północy, lub téż w niedzielę rano, stosownie do miejscowego zwyczaju i zbierania się ludu do kościoła. Rezurekcya rozpoczyna się od Grobu Pańskiego, skąd, po prześpiewaniu modlitw stosownych, wychodzi uroczysta processya z Najświętszym Sakramentem, i trzy razy przy stosownych pieśniach wewnątrz, lub zewnątrz kościoła się obchodzi. Po processyi i prześpiewaniu modlitw, Jutrznia o Zmartwychwstaniu Pańskiém się odprawuje. Processya zwykle raz tylko obchodzi kościół, w tym zaś dniu trzy razy, na znak radosnego tryumfu Jezusa Chrystusa nad śmiercią i piekłem. Dlatego podczas téj processyi niesie się krzyż, stułą czerwoną przepasany, pa-

schał zapalony i figura Chrystusa zmartwychwstałego, z chorągiewką w ręku. Są to oznaki zwycięstwa, jakie Chrystus odniósł nad śmiercią. Jestto razem oznaka naszego zmartwychwstania i wiecznéj radości w niebie, jaką nam Chrystus przygotował.

W dawnych czasach, gdy Kapłan po processyi śpiewał: *Wstał Pan Chrystus zmartwych ninie*, wierni będący w kościele, téj radosnéj nowiny sobie winszowali, a dając wzajemne pocałowanie na znak miłości i radości wspólnéj, powtarzali słowa przez Kapłana śpiewane. Z czasem, gdy składanie tych powinszowań w kościele ze zwyczaju wyszło, miejsce ich zajęły powinszowania, jakie w ten dzień pod nazwaniem *Alleluja*, lub Zmartwychwstania Chrystusa, wierni sobie po domach składają.

Przy obchodzie téj radosnéj pamiątki, po odbytém nabożeństwie, Chrześcijanie zapraszają siebie wzajemnie na ucztę, z różnych pokarmów złożoną, która jest równie jak wilja na Boże Narodzenie, zabytkiem uczt dawnych. Między temi pokarmami pierwsze trzyma miejsce baranek, i osobną modlitwą się poświęca; na znak, że Jezus Chrystus jest Barankiem Bożym, który gładzi grzechy nasze, i w Najświętszym Sakramencie na pokarm duchowny siebie nam daje. Przytém przypomina tryumf Niebieskiego Baranka nad śmiercią i piekłem; dlatego pospolicie przy poświęcanym baranku chorągiewka się zawiesza. Gospodarz z domownikami i gośćmi zwykle od jaja rozpoczyna pożywanie wielkanocnéj uczty, czyli święconego. Jestto dawny zwyczaj przyjęty od Rzymian, którzy od jaj uczty zaczynali. Z jaj robiono dawniéj, w dzień Wielkanocny podarunki, osobliwie dla dzieci, co i teraz w wielu miejscach się zachowuje. Stąd powstał zwyczaj jaja farbować i różne na nich wizerunki wyrabiać, a najczęściéj takie, które się do uroczystości wielkanocnéj stosują. Stąd wreszcie samo jajko niejako oznaką wielkanocnéj uroczystości się stało.

W dawnych wiekach uroczystość Wielkiéj nocy, przez całą oktawę, czyli ośm dni obchodzoną była. Chociaż teraz Wielkanoc uroczyście tylko przez dwa dni się obchodzi, jednak w kościelném nabożeństwie do następnéj niedzieli się rozciąga. Ta niedziela zowie się *Przewodnią*, w którą pierwsi chrześcijanie nowo ochrzczeni suknie białe składali w kościele. W dawnych bowiem czasach ochrzczeni w Wielką Sobotę, przez cały tydzień nosili białe suknie, na znak odebranéj na chrzcie Stym niewinności; codzień przyjmowali Najświętszy Sakrament i Mszy Śéj słuchali, która za nich szczególniéj ofiarowaną była; nie znajdowali się na żadnych widowiskach, zabawach i biesiadach; słuchali Tajemnic wiary Śéj, które im przed chrztem wykładane nie były. Nakoniec w oktawę Zmartwychwstania Chrystusa, czyli niedzielę pierwszą po Wielkiéj nocy, składali suknie białe i do liczby wiernych ich zaliczano. Dlatego niedziela ta nazwana została *Niedzielą w Bieli* albo Przewodnią. To wszystko pokazuje się z dawnych modłów kościelnych, które podczas dni wielkanocnych i świątecznych do dnia dzisiejszego się używają. Zachowanie tego zwyczaju ustało, kiedy chrzest Sty osobom dorosłym, w różnych czasach zaczął być dawany; co od wieku VII, choć nie wszędzie się rozpoczęło.

Czas Wielkanocny trwa przez ośm tygodni, aż do uroczystości Trójcy Przenajświętszéj. Wszystkie modły i śpiewy kościelne w tym czasie są nacechowane najżywszą radością, wdzięcznością i uwielbieniem Jezusa Chrystusa, za dokonane dzieło odkupienia. Dla wyrażenia zaś Zmartwychwstania Chrystusa, i okazania stąd naszéj radości, modlitwy w czasie wielkanocnym po większéj części stojąc, się odprawują. Dla téjże radości Kościół Sty w tym czasie uwalnia wiernych od ścisłego postu, i dozwala w dni postne pokarmów maślnych używać.

Leszek Biały.

Leszek Biały, od białych włosów tak nazwany, był synem Kazimierza II Sprawiedliwego, i Heleny księżniczki Bełzkiéj. Panował w Polsce po ojcu, pierwszy raz od r. 1194 do 1200; że zaś był małoletnim, władzę w tym czasie powierzono matce, opiekunami zaś byli: Pełka biskup krakowski, Mikołaj wojewoda krakowski, i Goworek wojewoda sandomierski.

Od r. 1200 do 1202, Mieczysław III Stary, stryj Leszka, zabrał mu koronę. Po śmierci jednak Mieczysława r. 1202, naród powtórnie wezwał Leszka Białego. Lecz Mikołaj, wojewoda krakowski, ofiarował mu tron pod tym warunkiem, iżby oddalił od siebie Goworka, Mi-

kołajowi nieprzyjaznego, ale Leszek wolał się zrzec korony, a starego przyjaciela zatrzymał.

Ten właśnie piękny czyn Leszka Białego opisany jest w następującym wierszu.

Od r. 1202 do 1207, po nieprzyjęciu korony przez Leszka, panował syn Mieczysława, *Władysław Laskonogi*, od cienkich nóg tak nazwany, lecz ten dobrowolnie rządów ustąpił, i Leszek powtórnie objąwszy tron, panował aż do r. 1228. Umarł w mieście *Gązawie*, w dawnych Kujawach, a dzisiejszém Bydgoskiém (w Prusach leżącém). Miał za żonę księżniczkę Grzymisławę.

Leszek, pozbawion przodków korony,
W modrzewim dworcu żył opuszczony.
Tam, siedząc tęskny w skromnéj komnacie,
Dumał ze smutkiem o przykréj stracie:
O berle, które młodéj prawicy
Wydarł Mieczysław, i sam w dzielnicy
Jego panował; a gdy niecnoty
Stryja, stanęły w oczach sieroty,
I gdy rozważył klęski swéj ziemi,
Zapłakał książę łzami rzewnemi.
I siedział smutny, na lśniącą zbroję,
W któréj, choć młody, już zwodził boje,
Spływał w kędziorach włos jego biały;
Skąd go też dzieje *Białym* nazwały.
Matka Helena, we wdowim stanie,
Z synem, podziela smutne wygnanie,
A w głębi skromnéj siedział komnaty
Zacny Goworek, obciążon laty.
On tylko jeden z dworaków rzeszy,
Tułać się z młodym książęciem spieszy,
By bronić mieczem, chronić radami.
Dlań też, pogardził on dostatkami.
Włos mu zsiwiały pokrywa skronie,
Oko zapałem niezwykłym płonie;
Zorane czoło, na licach blizny,
Swiadczą: jakim był synem ojczyzny.
On, niegdyś prawy druch Kazimierza,
W usługach jego nie zdjął pancerza;
I teraz w zbroi, poczciwie, stary
Synowi jego dochował wiary.
On pierwszy, kroki Leszka prowadził,
Jak być cnotliwym, jak mężnym radził;
On go nauczył konia dosiadać,
Przywdziewać zbroję, orężem władać.
Teraz, z nim życie w niedoli pędzi,
Rady i miecza nigdy nie szczędzi.
I każdą troską, i każdym bólem,
Dzieli się chętnie z swym młodym królem;
Teraz w nieszczęściu pociech udziela,
Leszek téż słuchać zwykł przyjaciela.

* *
*

A wtém, u skromnych dworca podwoi
Tętent rumaków, chrzęst słychać zbroi.
Zsiadają z koni dzielni rycerze,
Błyszczą ich hełmy, lśnią się pancerze.
Sędziwi wiekiem, włos posiwiały,
Brody poważnie na pierś spływały;
Miecze im długie wiszą u boku,
Powaga w twarzy, a w jasném oku,
Przebija męstwo. Są to posłowie,
Do Księcia Leszka. W téj zaś osnowie
Rzecz poczynają: „Książę! do Ciebie
„Prośbę niesiemy: kraj jest w potrzebie;
„Po Mieczysławie *starym* korona,
„Została nagle osierocona.
„Dziś Krakowianie, za cnoty Twoje,
„Za męstwo, z jakiém staczałeś boje,
„Chcą wrócić berło Twojéj prawicy,
„Panem Cię widziéć w Piastów stolicy.
„Lecz jeden tylko warunek kładą:
„Byś za Goworka nie chodził radą,
„Oddal go Książę, wtedy korona
„Będzie Ci znowu stale wrócona,
„Albowiem panów niechętnych wielu,
„Widzi nad Tobą moc w przyjacielu.“
Posmutniał Leszek, słysząc te słowa,
A ze wzruszenia drży jego mowa:
„Jakto!“ zawoła, „jaż mam dać wiarę
„Ludziom, którzy mi, jakby za karę
„Wydrzeć chcą szczęście najdroższe w życiu,
„Szczęście przyjaźni? Stokroć w ukryciu,
„Z zacnym Goworkiem smutną mą dolę,
„Zdala od świata podzielać wolę,
„Niźli bez niego posiąść koronę;
„Więc zwróćcie kroki swe w inną stronę;
„Bo nad blask berła, nad świata mienie,
„Przyjaciel w wyższéj u mnie jest cenie!“
Gdy po téj Leszka szlachetnéj mowie,
Milcząc, zdumieni stoją posłowie,
Goworek wzruszon Księcia słowami,
Ujął mu dłonie, zalał się łzami
I tak przemówił: „Książę! krajowi
„Służyć potrzeba; mnie zaś starcowi
„Dość będzie szczęścia, kończąc me lata

„Pod skromną strzechą, w ustroni świata,
„Słyszéć, że rządzisz mądrze, cnotliwie;
„Przyjm więc koronę i żyj szczęśliwie!“
—„O! nie, odpowié Leszek starcowi;
„Twe cnoty ujmąż blasku tronowi?
„Na każde kraju mego wezwanie,
„Życie dla niego jestem nieść w stanie,
„Ale bez Ciebie nie przyjmę tronu;
„Nas nie rozłączy już nic do zgonu.
„Niechętne Pany tobie, starcowi...
„Niech tron innemu dadzą Piastowi.“

* * *

Po tak stanowczéj Leszka odmowie,
Władysław młody rządził w Krakowie.
A kraj w tym czasie ucierpiał wiele;
Niszczą go zewsząd nieprzyjaciele.
Leszek, ratując biedną krainę,
Niepomny krzywdy, zbiéra drużynę
I nieprzyjaciół wszędy zwycięża,
Kędy z Goworkiem dobył oręża.
Naród go sławił za to zwycięstwo,
A Bóg nagrodził cnotę i męstwo.
Bo znów u skromnych Leszka podwoi,
Tętent rumaków, chrzęst słychać zbroi:
Znowu do Leszka dążą posłowie,
I z rozrzewnieniem, z pokorą w mowie,
Głoszą: że z wolą całéj ziemicy,
Władysław berło z swojéj prawicy
W ręce szlachetne zwraca z ochotą;
A lud, wzruszony przyjaciół cnotą,
Prosi: by przy Nim, przy Piastów tronie,
Goworek pierwszy był w Panów gronie.

O! cześć szlachetnym głośmy wśród świata,
Niech pamięć cnoty przeżyje lata!

Nie wszystko złoto, co się świéci.

—

— Oj tak—tak, mój panie Bartłomieju! mówiła stara Maciejowa, siedząc przy kominie, i przysuwając do ognia sagan wielki żelazny, w którym gotowały się kartofle na wieczerzę. Oj, tak, człowiek się nabieduje, nakłopota, naugania za tém i za owém, nie dośpi, nie doje, nadrepcze się jakby koń we młynie, i na tém koniec. A innym przecie, życie wywija się jakby z płatka, mają wszystkiego po uszy, opływają w dostatki, nieprzymierzając, jakby pączki w maśle. Oj! dziwnież to jakoś wszystko dzieje się na świecie.

— Nie gadałabyś, moja pani Maciejowo! próżnych słów,— (odrzekł Bartłomiéj, siwy staruszek, który siedząc na niskim zydelku, ogrzewał przy ogniu stare kości.)—Wielka to obraza Boska narzekać, kiedy Pan Bóg dał ci i tak niemało z miłosierdzia swego. Chłopak oto sprawia ci się nieźle, nie zagląda do szynkowni, nie goni wiatru po świecie, a i majster chwali go, że pracowity i pilny. I dziewczyna oto skromna, cicha, pilnuje roboty, nie żadna wietrznica, jak to panie odpuść! tyle innych. Podziękować Bogu matko! i nie trwonić słów marnych, żeby Pan Bóg nie ukarał, że nie szanujecie Jego łaski.

— Bóg widzi, że ją szanuję, odparła kobieta z rozjaśnionem okiem, pglądając zboku na pięknego dwudziestoletniego młodziana, i hożą jak kwiat ośmnastoletnią dziewczynę, którzy siedząc obok siebie na ławie w kącie izdebki, rozmawiali swobodnie, jak to zwyczajnie w niedzielę, gdy po całotygodniowéj pracy, pan Bóg daje miłą chwilę spoczynku. Ależ mój Panie Bartłomieju! dodała wzruszonym głosem, dlatego samego, że Pan Bóg pobłogosławił człeku na tych oto dzieciskach, nie dziwota, że człowiek radby im Nieba przychylił ku ziemi. A tu wszystko idzie jakby z kamienia, chléb drogi, komorne drogie, opał drogi, co się zapracuje w czoła pocie, to się też i rozlézie na konieczne potrzeby; a jakby przyszła choroba, to aż strach bierze pomyśleć.

— A Pan Bóg? a Jego święta Opatrzność, a Jego nieprzebrane miłosierdzie— O! przerwał Bartłomiéj, czyście to zapomnieli matko! co mówił dziś ksiądz na kazaniu? „Ten co przyodziewa kwiaty polne, co karmi ptaki powietrzne, miałżeby przepomnieć człowieka, którego stworzył na obraz i podobieństwo swoje?

— Prawda, prawda —odrzekła Maciejowa, wy zawsze mądrze mówicie, mój panie Bartłomieju! to też, jak się człowiek nagawędzi z wami w niedzielę, to mu jakoś na cały tydzień przy-

bywa odwagi. Niechże wam Pan Bóg stokrotnie za to zapłaci.

— Oj, bo teżto odwagi potrzeba, żeby umieć dźwigać ten krzyż żywota, który się ludziom tak ciężkim wydaje. Dźwignijmy go tylko z odwagą i dobrą wolą, a straci połowę ciężaru, odparł Bartłomiéj, zażywając tabakę, bo wierzcie mi matko— Pan Bóg człeku włożył na barki jedno tyle, ile on znieść podoła.— Prawda, ciężkie życie, nie ma co mówić, ale przyznaj, że my sami i próżnym frasunkiem, i utyskiwaniem utrudniamy je.

— Mówcie sobie ojcze! co chcecie, ozwał się młody Janek kowalczyk. przysuwając się do ognia, ale miłoto jednak być musi tym, co bez mozołu, bez trudu, używają wszystkiego, ile sami zechcą, co im to pieczone gołąbki wpadają same do gąbki.

— Mają i oni swoje kłopoty, i kto wie czy nie cięższe, jak nasze, odparł stary Bartłomiéj. Przecież ja to przez długie lata ocierałem się o pańskie progi, to też śmiało rzec mogę— że *nie wszystko złoto, co się świéci*; co prawda, nie dokuczy im głód, ani zimno,—ależ za to dokuczą im inne dolegliwości, o jakich my ani pojęcia nie mamy.

— Zwyczajnie, wymysły, odparła Maciejowa, potrząsając głową. Dopieroż to gadaliście na mnie ojcze, że sobie niepotrzebne rzeczy przypuszczam do myśli, a teraz oto, przemawiacie za tymi. co im jedno ptasiego mleka nie dostaje, a jednak turbują się, i próżno obrażają Pana Boga.

— Winnić i oni, co prawda— rzekł stary, ale też i Pan Bóg nie oszczędza im chłosty: są na świecie nieszczęścia, od których człowiek nie okupi się pieniędzmi. Tak na pana, jak i na biedaka zsyła Pan Bóg śmierć i chorobę; każdy kto żyje, upaść może na duchu—zgrzeszyć, a zatém i cierpieć, a im wyżej kto postawiony, tém mu życie trudniejsze, bo większy ma rachunek do załatwienia z Panem Bogiem.

— Snadno to załatwić rachunek, rzekł Janek, kiedy jest z czego dług zapłacić. Już tam co do mnie, nie gniewałbym się wcale, żeby mi się udało wynaleźć jaki skarb ukryty w ziemi.—Nieraz jak kuję młotem w kuźni, to aż mi głowa pęka od myślenia, co jabym też robił z pieniędzmi, żebym je znalazł jakim cudownym sposobem. Zaraz oto kupiłbym matce śliczną, jedwabną suknię, coby w niéj wyglądała, jakby jaka księżna.

— Dziękuję ci, mój Janku! za dobre chęci, odrzekła, śmiejąc się Maciejowa.—Ale piękniejżeby wyglądała moja jedwabna suknia, jakbym zaczęła w niéj jak teraz, wygarniać kartofle z popiołu.

— Tobym ci też matko nie dał pracować— rzekł Janek, miałabyś sługi na zawołanie.

— A cóżbym sama robiła, mój Janku!—Oj! nudnoby też to było siedzieć cały dzień Boży, z założonemi rękoma!

Bartłomiéj uśmiechnął się nieznacznie, pokiwał głową, i zażył niuch tabaki.

— No, i cóżbyś daléj robił z pieniędzmi, zapytała Zosia.

— Dałbym ci posag, siostrzyczko!— a przy posagu jeno patrzeć, znalazłabyś i męża.

— Dziękuję ci za tę łaskę, mój Janku; piękny mi mąż, cobym go sobie kupiła za posag.

Oj doprawdy, wolę nie znać żadnego. Chodzęć ja po pańskich dworach na robotę, to się napatrzę i nasłucham różnych rzeczy.—Nieraz ci tam, nie dziesięć—idą za mąż, żenią się, dla posagu— ale co z takiego małżeństwa, to zawsze jedno Panu Bogu obraza, a światu zgorszenie.

Bartłomiéj uśmiechnął się znowu: no i cóżbyś potém robił z pieniędzmi? zapytał po chwili.

— Oto, rzekł Janek, porzuciłbym młot kowalski, co to próżno człeku ręce smoli, że ich w niedzielę i mydłem domyć nie może, i wziąłbym się do innego łatwiejszego rzemiosła.

— Do rzemiosła próżniaka, rzekł Bartłomiej smutno— bo to zaprawdę ze wszystkich najłatwiejsze, ale wierz mi synu, że ludzie zmądrzeli, i to rzemiosło nie bardzo już dziś popłaca na świecie;— młot zabrudzi ręce, ale od próżnowania, to serce nawskróś przerośnie ci brudem — a jak przyjdzie stanąć na sąd, to Pan Bóg nie o to zapyta, czyli ręce twoje czyste, jedno, czyli na sercu twojem nie ma brudnéj skazy. Nie rzucaj młota, chłopcze! bo to jedno twoje, co sobie nim wykujesz— nie szukaj innych skarbów, nad te, jakie Pan Bóg złożył w sercu każdego—a niemi są: *poczciwość* i *praca*.

Oj tak, synu, *poczciwość* i *praca*, to całe bogactwo człowieka — rzekła Maciejowa— niemi

jedno dokupisz się miłości u ludzi i łaski u Boga.—To mówiąc, odsunęła od ognia sagan z kartoflami i czyniła dalsze przybory do wieczerzy. Zosia tymczasem nakryła stolik czystą bielizną, i przysunęła go do komina.

— Nim dacie wieczerzę, matko, rzekł Bartłomiej— opowiem wam wypadek, na który własnemi patrzyłem oczyma, a dalibóg, że to prawda, jak mnie tu widzicie żywego.

Zosia i Janek przysunęli się do starego, aby tém lepiéj dosłyszeć każde jego słowo, bo dziwnie lubili opowiadanie poczciwego Bartłomieja.

— Dawno to, dawno temu, mówił stary, byłem jeszcze niedorosłem pacholęciem, kiedy mnie wziął do dworu nieboszczyk Kasztelan, u którego matka miała chléb łaskawy, jako wdowa po zasłużonym gajowym. W téjże saméj wsi, siedział na wiatraku stary młynarz, nazwiskiem Mąkol.

Był to człowiek poczciwy, trzeźwy i sumienny, to też Pan Bóg błogosławił mu we wszystkiém, miał żonę dobrą i pracowitą, i kilkoro dzieci. Starsze córki były już na swojém, i miały się niezgorzéj; z dwóch synów, jeden był młynarczykiem przy ojcu, młodszy zaś darł się całą siłą do dworskiéj służby. Stary młynarz zrazu sprzeciwiał się temu, ale wkońcu musiał przyzwolić na prośby Staśka. Służyliśmy razem za chłopaków w kredensie, tłukliśmy na wyścigi talerze i szklanki, a nieraz, Panie odpuść, braliśmy razem plagi od starego Marcina kredencerza, częściéj jednak zdarzało się to Staśkowi, bo choć niezły chłopak, ale niewiele statku było u niego w głowie. U pana jednak i paniczów, miał Stasiek wielkie łaski, bo też jakby go szpakami karmiono, umiał się przypochlebić, i wiedział, jak sobie jednać pańskie względy; ale co do roboty, to go i kijem trudno było napędzić. Pamiętam, jak nieraz utyskiwał sobie ciężko, dlaczego to Pan Bóg stworzył go na pracę, gdy tyle ludzi darmo je chléb na świecie.

Byliśmy już że trzy lata na pańskich posługach, kiedy memu Staśkowi, wpadła w oko Marysia pokojówka pani Kasztelanowéj. Dziewczynie podobał się chłopak, bo był i dorodny, i jak to mówią z poczciwego gniazda,— pobrali się też, jak pomnę, w same ostatki, a państwo wyprawili im sute wesele. On pozostał nadal we dworze, ona zajmowała się szyciem i praniem bielizny; byłoby im zupełnie dobrze, ale cóż, kiedy Staśkowi zawsze było markotno, że go Bóg nie stworzył panem, tylko chudym pachołkiem.

I ja też z chłopca postąpiłem na pokojowca, a że wtedy starszy kasztelanic dostał od ojca dobra na Podlasiu, wziął mnie z sobą na nowosiedliny. Rozstałem się więc ze Staśkiem, który pozostał przy młodszym paniczu. Widywaliśmy się jednak często, bo na wszystkie święta przyjeżdzałem z moim panem do domu starszych Państwa. Pomnę raz, było to na Wielkanoc, zjazd był wielki, bo też wielkie rzeczy ważyły się wtedy na świecie. Pełno panów zjechało jak na odpust w dom Kasztelaństwa. Panowie radzili, a radzili między sobą. Wojna miała się rychło rozpocząć. Obadwaj kasztelanice zamyślili zaciągnąć się do wojska. Prosiłem młodego pana, żeby mnie wziął z sobą, co mi też i przyrzekł; pamiętam jak dziś, mieliśmy zaraz po świętach wyjechać do Warszawy, gdy wtém, rozeszła się pogłoska, że pod borem na granicznym kopcu widać co noc jakiś dziwny płomień. Cała wieś mówiła o tém, a ludzie jak to zwyczajnie, wpadli na domysł, że tam muszą być zakopane pieniądze. Wieść ta doszła i do Kasztelana, ale że panowie co innego mieli wtedy na myśli, Kasztelan niewiele na to baczył; poszukiwanie pieniędzy, zostawił do swobodniejszego czasu.

Pojechaliśmy z Kasztelanicem do Warszawy, i obadwaj z panem przebraliśmy się zaraz w mundury, a niedługo też potém zaczęła się na dobre wojaczka. Oj! użyło się i złego, i dobrego niemało, bywało się i na wozie i pod wozem, jak to mówi przysłowie. Wrok niespełna, skończyło się wszystko, a dla nas obydwóch z panem, tyle przyszło z wojny, żeśmy musieli wędrować w cudze kraje. Poniewieraliśmy się kilka lat po świecie, poznaliśmy siła miast, i siła ludzi, byliśmy i w ziemi włoskiéj i francuskiéj; nawąchaliśmy się prochu, co niemiara, nieraz przymarli i głodu, aż po kilku latach wreszcie powróciliśmy z drugimi do kraju. Stary Kasztelan już nie żył, młodszy Kasztelanic ożenił się, i z żoną zamieszkał w rodzicielskim zamku. Zastałem matkę jeszcze przy życiu, podstarzała biedaczka i posiwiała, ale trzymała się jeszcze dosyć krzepko na zdrowiu. Przybywszy na dwór Kasztelanica, dopytywałem się ciekawie o Sta-

ška; ale nikt nie wiedział, kędy się obraca, nawet i brat rodzony, który po śmierci rodziców osiadł na wiatraku. Był to już człowiek stateczny, miał żonę i kilkoro dzieci, a Pan Bóg dziwnie mu jakoś we wszystkiém błogosławił: dostatek i drzwiami i oknami, jak to mówią, wchodził mu do domu, a ludzie mówili, że sprawiedliwie, bo Mąkol poczciwie służył i Bogu i ludziom. O Staśku różne biegały pogłoski, ludzie mówili, że znalazł pieniądze zakopane w granicznym kopcu, że został wielkim panem, że ma znaczne dobra gdzieś na Wołyniu, niedaleko Berdyczowa, ale w tém wszystkiem nie było nic pewnego; to tylko było pewna, że opuścił wieś, nie pożegnawszy ani rodziców, ani brata, i przepadł z żoną i dziećmi, istnie jakby kamień w wodzie.

Pan mój dosłużył się był stopnia szefa, i nie myślał porzucać wojskowéj służby, bo jeszcze nie było spokojnie na świecie, i mówiono znowu o nowéj wojnie. Przez zimę mieszkaliśmy w Warszawie, gdzie był sztab główny. Pomnę, razu jednego szedłem sobie ulicą Miodową, aż tu pod samemi filarami spotykam, zgadnijcie kogo?

— Jużciż nie kogo innego, tylko Staśka, rzekła Maciejowa,—bo przecież o nim cała rzecz się toczy.

— Zgadliście matko, rzekł Bartłomiéj, zażywając tabakę, ale zaledwie żem go poznał. Miał na sobie niedźwiedzią szubę i czapkę z sobolami, utył, spoważniał, a panie odpuść, zdało mi się nawet, że urosł, a może też tylko głowę bardziéj, niż przedtém, zadzierał do góry. Przeszedł koło mnie i udał, że mnie nie poznał, ale ja zawróciłem za nim w te tropy, i tak zaszedłem aż do Niemieckiego hotelu.

— Jak się ten pan nazywa, — zapytałem szwajcara, wskazując na Stanisława, który zawracał na wschody.

— To pan Mąkolski, bogaty pan z Wołynia,—odpowiedział szwajcar.

Niewdając się w dalszą gawędę, poszedłem do wskazanego mi numeru na pierwszém piętrze. Służba nie chciała mnie puścić bez meldowania, ale powiedziałem, że potrzebuję się koniecznie widzieć z samym panem, i to pilno, i wstępnym bojem wszedłem do pokoju. Stanisław niekoniecznie rad był z moich odwiedzin, kręcił się zrazu, jakby mucha w ukropie, niby mnie to nie przypominał sobie, aż w końcu poznał, że te wszystkie fanaberje nie na wiele się zdadzą, bom ja nie w ciemię bity, i przywitał mnie dosyć niby serdecznie. Opowiadał mi niestworzone rzeczy, jakim sposobem przyszedł do majątku. Niby to na żonę jego spadła jakaś sukcesya, po bogatéj ciotce, która mieszkała koło Berdyczewa. Wysłuchałem cierpliwie wszystkich tych banialuków, alem mu nie wierzył, i swoje myślał w duszy.

— Jakże się ma żona, zapytałem.

— Umarła nieboga przed dwoma laty.

— A dzieci?

— Jedno poszło za matką, dwoje się chowa, ale jakieś słabe i delikatne.

Coś ci, mój Staśku, nie posłużyły pałace, pomyślałem w duchu— ale nie rzekłem ani słowa, boć to nie należy urągać cudzéj niedoli.— Przypatrzyłem mu się bliżéj, i poznałem dopiéro, że nieborak postarzał jakoś okrutnie. Włosy mu wylazły, twarz porysowała się zmarszczkami— a i na sercu nie było podobno wesoło. Brata radby był odwiedzić, jak mówił, ale tyle miał interesów do załatwienia w Warszawie, że sam nie wiedział, czy mu wystarczy czasu. Kiedym się zabierał do wyjścia, wydobył z woreczka dziesięć dukátów złotem, wsunął mi je w rękę i prosił, żebym nikomu nie wspominał o naszem spotkaniu. Położyłem pieniądze na stole, powiedziałem, że i tak mam dosyć złaski Pana Boga, a co do tajemnicy, że ją zachowam, choć nie będę zapłacony. Jakoż dotąd para mi z ust o tém wszystkiem nie wyszła.

Długo jeszcze ciągnęły się wojny, a i ja też włóczyłem się z panem po świecie. Byliśmy w Hiszpanii, i znów powróciliśmy do kraju, ale co wtędy to już nie zastałem biednego matczyska; zapłakałem tylko na jéj grobie sierocemi łzami. Ale nie było czasu i na łzy, musiałem je obetrzeć, i ruszać z panem w świat. Długożby to wszystko opowiadać, powiem więc tylko w krótkości, że pan mój ciężko postrzelony pod Berezyną, umarł niedługo z ran, a ja piechotą, w łachmanach, powróciłem do rodzinnéj wioski. Oj! dobrze, że biedna matka nie dożyła tego, byłaby się zapłakała, patrząc na mnie, bo też niepodobny byłem do Boskiego stworzenia. Pan Kasztelanic przez wzgląd, żem służył wiernie nieboszczykowi bratu, zatrzymał mnie we dworze. Byłem już z dziesięć lat w nowéj służbie,

kiedy raz pod niebytność pańską, poszedłem sobie wieczorem do poczciwego młynarza. Zasiedliśmy na ławie przy kominie, ot jak teraz siedziemy, i popijaliśmy ciepłe piwko, gdy w tém psy okrutnie ujadać zaczęły na dworze. Janek młynarczyk wybiegł zobaczyć, co się tam dzieje, i powrócił za chwilę, a za nim wszedł w progi stary dziadowina, odziany ubogo, a taki przemarzły, że aż drżał cały jak listek, i dzwonił jedno zębami. No, czyż wy zgadujecie, matko, kto to był taki?

— No, jużciż nikt inny, chyba Stasiek, odrzekła z uśmiechem Maciejowa.

— Tak, nieinaczéj,— Stasiek nieborak, odrzekł Bartłomiéj, a całe bogactwo jego była torba parciana, i kij z jeżem, którym się od psów oganiał.

— A toć chyba musiały być czartowskie pieniądze, rzekł Janek kowalczyk, kiedy mu tak nie ręką poszły?

— Kto je tam wie, odparł Bartłomiéj, bardzoć to rzecz podobna do prawdy. Różnemi to sposobami ten nieprzyjaciel duszy ludzkiéj, ciągnie do siebie człowieka; a pieniądz jest może najzdradliwszą jego wędką.

— Ale jakimże sposobem biedny Stasiek z państwa przyszedł dó takiéj nędzy, zapytała Maciejowa, mówcie prędko mój Panie Bartłomieju, bo już i wieczerza zaraz będzie na stole.

— Dokończę całą rzecz w kilku słowach. Przez pierwsze dwa lata wszystko szło Staśkowi jakby z płatka, byli i przyjaciele, bo znaleźli się nawet i jacyś krewni na Wołyniu, jacyś Mąkolscy, co tam osiedli przed stu laty, i tym samym niby co Staśko, pieczętowali się herbem. Ale po dwóch latach, jakby biczem trzasł, wszystko się naraz urwało. Naprzód choroba zagnieździła się w domu. Żona cherlała, nieboga, przez cały rok, i zamarła w końcu. Dzieciska przyzwyczajone do życia swobodnego, do słońca i ruchu na wolném powietrzu, więdły jakby kwiatki w pałacu, i nie wyrastały jak należy. Gospodarstwo się nie wiodło, grad często gęsto wybijał zboże, dobytek marniał co roku, ziemia nie rodziła. Na wychowanie dzieci, a do tego pańskie, trzeba było pozaciągać długi, dość, że nim dzieci dorosły do lat, wartość majątku zmniejszyła się o połowę. Dziewczęciu wreszcie dobiegło lat ośmnaście. Wydał ją Stanisław za mąż, bo choć chorowita i nieurodziwa, znalazła przecież męża, dla posagu, co go ojciec dać przyrzekał. Ale nie poszczęściło się niebodze; mąż niedostawszy nic, jedno obietnice, dokuczał jéj bez miłosierdzia póty, aż ją w końcu wpędził do grobu. Z synem gorsza jeszcze była sprawa. Nie słuchał ojca, wdał się w złe towarzystwa, pił, hulał, grał w karty, zastawiał się w żydy, począł wykradać zboże z ojcowskiego spichlerza, a w końcu nawet i pieniądze z ojcowskiéj szkatuły, a naostatek sam sobie w łeb strzelił, z wielką obrazą Boską.

Biedny Stanisław stracił do reszty głowę, a że jak to mówią, dobry trunek na frasunek, zaczął wkońcu i zapijać sprawę. Bóg też coraz większe zsyłał na niego chłosty: poszła z dymem wieś cała, nie było jéj za co odbudować, — wierzyciele rozszarpali ziemię; a on nieborak pozostał, jak go Bóg stworzył, bez marnego szelążka, a co gorsza nad to, stracił zdrowie, stracił siłę; a przeżywszy kilkanaście lat w dostatkach, zgnuśniał i odwykł od pracy.

— Oj! gardłem wylazło państwo nieborakowi— rzekła Maciejowa, kiwając głową z politowaniem. Panie Boże! niezbadane Twoje wyroki.

— Niezbadane, ale sprawiedliwe, odparł poważnie Bartłomiéj. Stanisław dostał od Pana Boga zdrowie, siłę i sposobność do pracy; zmarnotrawił te dary, zaparł się poczciwości, bo się powstydził starych ojców i rodzonego brata. Chciało mu się zakosztować łatwego chleba, nie zarobiwszy go w pocie czoła, i Bóg go za to ukarał. Pracujmy więc miłe dzieci, ile siły, nie pożądajmy majątku, nie zazdrośćmy bogatym, bo wierzcie mi, mają i oni ciężkie krzyże do zniesienia. *Nie wszystko złoto, co się świéci*, prawdziwego szczęścia nie ma na ziemi, bo ziemia, to niby krzemieniste pole, które człowiek musi uprawiać w trudzie i boleści. Szczęście zupełne tylko w Niebie u Boga, a jeżeli na ziemi człowiek znajduje go kiedy odrobinę, to nie w dostatkach, nie w używaniu, ale jedno w miłości ludzkiéj, w poczciwości i pracy.

— Gdzie zgoda, tam Bóg mieszka.
— Gość w dom, Bóg w dom.
— Cudze ręce lekkie, ale niepożyteczne.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 7 (19) Marca 1856 r. — Starszy cenzor *P. Sobieszczański.*